Bezkarni bandyci stolicy [FRAGMENT]

Poniżej prezentujemy pierwszy rozdział jednej powieści "Bezkarni bandyci stolicy. Powieść o Warszawie grozy i zbrodni" Andrzeja Młota (akcja, wbrew pozorom, nie dzieje się współcześnie.) oraz wstęp do książki autorstwa Łukasza Biskupskiego. Handel żywym towarem, przychody z sutenerstwa, zaginiona córka alkoholika Rabina, sadystyczny gangster Sztajer jako prawa ręka gangstera i miejskiego radnego, dintojra i egzotyczne miejsca akcji. Dzieje się!

***

Powieść publikowano na łamach efemerycznego „Głosu Stolicy" od 16 września (wtorek, nr 1) do 16 grudnia (piątek, nr 99) 1932 roku. Periodyk ten miał być przystępną cenowo i treściowo popołudniówką, prezentującą punkt widzenia Polskiej Partii Socjalistycznej, lżejszą w treści niż oficjalny partyjny „Robotnik", skierowaną do, jak czytamy w artykule programowym, „świata mózgu i mięśni". Sensacja (proces kasiarza Szpicbródki, głośna sprawa Rity Gorgonowej) przeplatała się w gazecie z tematami politycznymi.

Jednym z niezbędnych działów gazety o takim profilu była odcinkowa powieść sensacyjna. Treści dostarczył Andrzej Młot, pisarz polityczny, o którym niewiele wiadomo. W kolejnych odcinkach Bezkarnych bandytów stolicy czytelnik poznaje losy grupy warszawskich gangsterów, między innymi Rabina — alkoholika, który pragnie porzucić świat przestępczy; Sztajera — sadystycznego gangstera będącego prawą ręką Wstążki, herszta szajki, a zarazem miejskiego radnego. Grupa zajmuje się wyłudzaniem haraczy na targowisku Kercelak, handlem żywym towarem i sutenerstwem. Zawiązanie akcji stanowi przestępczy sąd, dintojra, na której zapada wyrok śmierci na Kostropatego, będącego ojcem aspiranta Grota, który rozpoczyna własne śledztwo w tej sprawie. Z kolei Rabin poszukuje swojej dawno zaginionej córki, nie wiedząc o tym, że jest ona jedną z dziewczyn zniewolonych w kontrolowanym przez bandę lupanarze. Wątki te rozwijane są w kolejnych odcinkach.

Jak przekonuje Paweł Rzewuski w artykule Bezkarni bandyci stolicy — powieść kryminalna jako narzędzie partyjnej propagandy była to powieść z kluczem, napisana i opublikowana w celu dyskredytacji wrogiej frakcji w Polskiej Partii Socjalistycznej. Fabuła stanowi parafrazę historii postaci historycznych: działaczy politycznych i przestępców — Łukasza Siemiątkowskiego nazywanego Tatą Tasiemką i Józefa Łokietka znanego jako Doktor Łokietek, związanych z dawną PPS Frakcją Rewolucyjną skonfliktowaną z PPS. Tasiemka był radnym dzielnicy Wola, oskarżonym o zastraszanie warszawskich kupców, a Łokietek — szefem milicji PPS, którego skłonność do awantur była powszechnie znana. Ich powieściowi odpowiednicy, Wstążka i Rabin, przedstawieni zostali w złym świetle. Jak pisze Rzewuski: „Aluzje były na tyle czytelne, że każdy, kto na bieżąco śledził rozwój wypadków w procesie Siemiątkowskiego, mógł bez problemu rozszyfrować, o kogo chodzi". Nawet sam tytuł powieści skrócony do akronimu BBS odsyłał do potocznej nazwy klubu parlamentarnego dawnej Frakcji Rewolucyjnej — Bezpartyjnego Bloku Socjalistów. Siemiątkowskiego aresztowano wiosną 1932 roku, a wyrok zapadł w lipcu, w grudniu zaś za kraty trafił Łokietek — znający realia czytelnicy śledzili więc rozwój powieści niemal na bieżąco z doniesieniami o rzeczywistych wydarzeniach.

Wiele wydarzeń opisanych w powieści nie znajduje potwierdzenia w faktach, cała konstrukcja powieści ma jednak za zadanie oczernienie prawdziwych postaci, odnosząc się nie tylko do faktów, ale i plotek. I tak dintojra nad Kostropatym dotyczy wyjawienia przez niego dziennikarzom informacji o zniknięciu „generała" i jego walizek.Jest to czytelna aluzja do nigdy niewyjaśnionego

zaginięcia generała Włodzimierza Zagórskiego, przeciwnika Józefa Piłsudskiego. Ważnym rekwizytem w tej historii był zaginiony bagaż Zagórskiego, w którym miały znajdować się ważne materiały. Tej zbrodni, jak przekonuje Rzewuski, nikt jednak raczej nie wiązał z bandą Łokietka.

Tym samym powieść ta stanowi ciekawy przykład tego, co Oskar Czarnik nazywa aktualizacją dziennikarską, czyli powiązaniem wydarzeń fabularnych z wydarzeniami aktualnie nagłaśnianymi przez media — w tym przypadku jest to aktualizacja mająca nie tylko funkcję uatrakcyjnienia, ale również cel polityczny.

Łukasz Biskupski

***

Andrzej Młot, Bezkarni bandyci stolicy. Powieść o Warszawie grozy i zbrodni, „Głos Stolicy" 13—28 września 1932 (nr 1—16).

Rozdział 1,
w którym tajemnicza taksówka mija rogatkę Warszawy

Gdy noc zapada…
Gdy światła latarni zapłoną…
Gdy żarzą się różnobarwne neonowe reklamy…
Gdy księżyc wytoczy się na jasne, bezchmurne niebo…
Gdy z teatrów i kin publiczność spiesznie powraca do domów…
Gdy tramwaje zjeżdżać już poczynają do remiz…
Gdy po brukach opustoszałych tętnią kroki policyjnego patrolu, wówczas gdy śpi już lub gdy układa się do snu Warszawa twardej, codziennej, znojnej pracy, inna Warszawa budzi się do życia.
Nie widać jej za dnia i darmobyś za dnia jej szukał. Czai się gdzieś za węgłamidomów, kryje się gdzieś w najbardziej zapadłych zaułkach. Kryje się w melinach w atmosferze zatęchłych, nędznych mieszkań, w komyszach przedmiejskich domów, wiadomych jedynie przestępczemu elementowi.
Ta Warszawa śpi w dzień, gdy wszyscy pracują, a wieczorem, gdy mrok spada na miasto, gdy pełgać poczyna światło w starych obdrapanych latarniach, wychodzi na pracę, na łów.
Na ulicach i uliczkach przedmieść, na Burakowskiej i na Karolkowej, na Dzikiej i na Okopowej, na Ogrodowej i na Pawiej, na Ciepłej i na Zakroczymskiej, na Parysowskiej i na wielu, wielu innych ukazują się charakterystyczne sylwetki, charakterystyczne cienie.
W dzień? W dzień odsypiali „robotę", w dzień odpoczywali po hucznej libacji, w czasie której i noże były w robocie. Jak krety, chroniące się przed blaskami słońca, gnuśne wiedli godziny w oczekiwaniu swej pory.
Teraz wypełzają, wychodzą z bram szczerbatych, z małych pochylonych domków, w których króluje grzyb i wieczna wilgoć, wyłaniając się z zaułków mrocznych i smrodliwych. Miny w miarę zawadiackie i znużone, w kątach oczu ślady wypisane przez nieprzespane noce i wychylone butelki. Tu i ówdzie szrama, od noża szeroka blizna. Junacki znak, którego się wstydzić nie należy.
Gromadzą się w małych kawiarenkach, gdzie łatwiej o wódki flachę niż o „pół czarnej", oblepiają bufety małych restauracyjek, których pełno w tych dzielnicach.
Znają się wszyscy, bez względu na to, czy czują do siebie sympatię, czy antypatię, która lada moment przerodzić się może w krwawą, bezlitosną bójkę. W każdej kieszeni „spluwa", tylko ręką sięgnąć. Tylko odbezpieczyć „bronka". A i noże sprężynowe nie od tego są, by rdzewiały.
Gdyby umiały mówić ściany melin, gdyby umiały opowiadać ściany małych, drugo- i trzeciorzędnych barów, gdyby mówić mogły i wołać kamienie brukowe, nie raz i nie dwa razy krwią obryzgane.
A bo to raz bowiem, a bo to raz! Małoż to razy nad ranem, gdy już szarzeć zaczyna,patrole policyjne natykają się w obchodzie na okrwawionego trupa człowieka sprawionego jak wieprz w rzeźni?

Małoż to razy ciszę nocną tych stron Warszawy mąci szybki, nerwowy kaszel rewolweru, po którym następuje drugi, cichszy, rzężący kaszel konającego?…
Na zakręcie zaś ulicy znikają, wsiąkają w noc cienie złowieszcze, zanim ktokolwiek zdoła przybiec na miejsce zabójstwa.
Farbuje się, czerwieni się krwią wyboisty, kanciasty bruk ulic, pije ją chciwie, żarłocznie pył uliczny. Zaszłe mgłą śmierci patrzą nieruchome w odchodzącą noc oczy trupa.
Kto go osądził? Kto wydał wyrok? Kto ten wyrok wykonał?
W odpowiedzi na te pytania pada jedno krótkie słowo, które tłumaczy wszystko. Słowo to brzmi „dintojra".
Trudno by było wyliczyć jej ofiary, trudno by było odpowiedzieć w wielu wypadkach, czym i jak bardzo zawiniła ofiara wobec praw „ferajny", iż nie cofnięto się przed zrobieniem roboty „na mokro".
Być może wiedział zbyt wiele, być może „wsypał" lub chciał „wsypać". Może być litość dla wszystkich, ale zawsze za mało będzie jej dla zdrajców.
Gdyby umiały mówić ściany melin warszawskich, gdyby umiały mówi „gabinety" przedmiejskich barów i restauracyjek… Jakże wiele miałyby do opowiedzenia. Dnia tego wszyscy bez wyjątku posterunkowi w Warszawie klęli służbę na czym świat stoi, chociaż to bowiem wczesna dopiero była jesień, ziąb tego dnia był taki, jakby zima była za pasem. Północny wicher dął mroźnymi podmuchami, a na dobitek padał drobny, przenikliwy, jesienny deszcz, uparty, nieznośny, doprowadzający do rozpaczy każdego przechodnia, a cóż dopiero posterunkowego, który miał obowiązek odcierpienia swych godzin służby na posterunku.
Po dniu tak fatalnym nastał wieczór wczesny, a po nim noc ciemna i mglista.
Była to taka noc, kiedy uzuchwala się zbrodnia, bo wie, że nocy takich jest niewiele, a wszystkie stworzone są przez szatana, żeby dopomóc jej — zbrodni.
Nocy takiej szczerzy odważniej swe okrwawione kły występek, jak pies wyjący do księżyca, bo wie, że noc taka zapewnia mu bezkarność, że mrok i mgła czuwają i okryją każdą ohydę i każde okrucieństwo.
W taką noc właśnie, kiedy psa wygnać szkoda, gdy każdy kto może szczęśliwy jest, iż przebywa w domu, w ciepłym pokoju, ulicą Dziką szedł szybko mężczyzna tęgiego wzrostu, [o] szerokich barach, ubrany tak, jak zazwyczaj ubierają się robotnicy.
Gdyby ulica nie była wówczas jakby wymarła, gdyby żółte światła latarń nie walczyły beznadziejnie z płachtami mgły, które je dławiły, można by było zauważyć, iż mężczyzna ów chromał lekko na jedną nogę.
Spieszył się on najwidoczniej, a idąc rozglądał się bacznie w różne strony, jakby chcąc przebić wzrokiem woale mgły, jakby szukając kogoś.
Jakoż wreszcie znalazł to, czego szukał. Na rogu ulicy Dzikiej i Błońskiej stała stara, zniszczona taksówka. Otulony podartą bluzą, chroniący się jak tylko było można przed chłodem i wilgocią owej ohydnej nocy, drzemał w jej wnętrzu kierowca.

(Dalszy ciąg jutro).

Nieznajomy podszedł do taksówki i kilkakrotnie zapukał w szybę. Szofer ocknął się z drzemki i wysiadł z pośpiechem, robiąc miejsce pożądanemu gościowi.
Był pewien, że przez całą noc nie zrobi ani jednego kursu.
Nieznajomy jednak nie kwapił się do wsiadania, lecz patrzał przez długą chwilę na kierowcę, jakby chciał z rysów twarzy odgadnąć człowieka.
— Chciałbyś zarobić, mój przyjacielu? — zapytał wreszcie.
— He! Kto by tam nie chciał dziś zarobić! — brzmiała wymijająca odpowiedź.
Nocny przechodzień zdawał się namyślać.
— Zarobić czasem można i to dobrze, ale czasem jest i ten warunek, że język trzeba trzymać za zębami.

Szofer spojrzał bystro na rosłego osobnika.
— To się wie — rzekł swoim zwyczajem, ani potakując, ani nie przecząc.
Tamten widocznie już się zdecydował, a i czasu nie miał zbyt wiele.
— Jedziemy — tu podał adres — ale ani pary z ust.
Szofer usłuchał w milczeniu.
W niecałe pół godziny potem przez jedną z rogatek Warszawy z szaloną szybkością przejechała taksówka. Wóz jechał tak szybko, że policjant ledwie zdążył zanotować numer rejestracyjny, co należało do jego obowiązków.
Gdy taksówka mijała posterunkowego, zdawało mu się, że widział przez moment w taksówce jakby jakieś szamocące się cienie i że coś, jakby krzyk, jakby wołanie o ratunek, doszło jego uszu.
Posterunkowy nie zwrócił jednak na to uwagi. Może wziął to za halucynację, za przywidzenie zmęczonych nerwów, za poświst wichru, który jęczał w konarach drzew.